

**JACK REACHER**

**LEE  
CHILD**

**ECHO  
W PŁOMIENIACH**



ALBATROS

## JACK REACHER

**Imię i nazwisko:** Jack Reacher

**Narodowość:** amerykańska

**Urodzony:** 29 października 1960 roku w Berlinie

**Charakterystyczne dane:** 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

**Kolor włosów:** ciemny blond

**Kolor oczu:** niebieski

**Ubranie:** kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

**Wykształcenie:** szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

**Przebieg służby:** 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

**Odnaczenia służbowe:** Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

**Ostatni adres:** nieznany

**Czego nie ma:** prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

# 1

Obserwatorów było trzech – dwaj mężczyźni i chłopiec. Zamiast lornetek polowych używali teleskopów. Ze względu na odległość. Ukształtowanie terenu zmusiło ich do zajęcia stanowiska półtora kilometra od obiektu. Bliżej się nie dało. Była to lekko sfałdowana równina z trawą, skałami i piaszczystą glebą wypalonymi przez słońce na jednakowy kolor khaki. Najbliższą bezpieczną kryjówkę znaleźli w szerokim, wysuszonym na pieprz parowie wyżłobionym przed milionami lat, kiedy pannał tu inny klimat, padały ulewne deszcze, rosły paprocie i rwały wezbrane rzeki.

Mężczyźni leżeli w tyle z teleskopami przy oku, wczesnoporanne słońce mocno już przygrzewało. Chłopiec, pełzając na czworakach, donosił wodę z turystycznej chłodziarki, wypatrywał budzących się grzechotników, zapisywał w notesie komentarze. Byli tu przed pierwszym brzaskiem. Przyjechali zakurczonym pick-upem od zachodu, okrężną drogą przez odludzie. Zrzucili na samochód brudną brezentową płachtę i docisnęli jej brzegi kamieniami. Podeszli pod krawędź parowu, rozlokowali się i kiedy na wschodzie, za oddalonym o półtora kilometra czerwonym domem, pojawiło się słońce, przyłożyli do oczu teleskopy. Był piątek, ich piąty z kolei poranek na stanowisku. Konwersację ograniczali do niezbędnego minimum.

– Godzina? – warknął jeden z mężczyzn. Głos miał nosowy wskutek tego, że jedno oko zaciskał, a drugie miał szeroko otwarte.

Chłopiec spojrział na zegarek.

– Szósta piętnaście.

– No to lada chwila – mruknął mężczyzna, nie odrywając oka od teleskopu.

Chłopiec otworzył notes i przygotował się do zapisywania tego samego, co zapisywał już od czterech dni.

– Światło w kuchni – rzucił mężczyzna.

Chłopiec zapisał. *Szósta piętnaście, zapaliło się światło w kuchni.* Kuchenne okno wychodziło na ich stronę, na zachód, a więc nawet po wzejściu słońca pozostawało w cieniu.

– Sama zapaliła? – spytał chłopiec.

– Nie, jak zwykle – burknął drugi mężczyzna, mrużąc oczy.

*Służąca przygotowuje śniadanie, zapisał chłopiec. Obiekt nadal w łóżku.* Cienie stawały się coraz krótsze, w miarę jak słońce pięło się centymetr po centymetrze po nieboskłonie. Strzelisty komin nad kuchnią czerwonego domu przywodził na myśl strzałkę zegara słonecznego. Rzucany przez niego cień przesuwiał się i kurczył, słońce coraz silniej grzało obserwatorów w plecy. Siódma rano, a już robiło się gorąco. O ósmej będzie upał, o dziewiątej skwar stanie się nie do zniesienia. A mieli tu spędzić cały dzień, by dopiero pod osłoną zmroku wycofać się niepostrzeżenie.

– Rozsuwają się zasłony w sypialni – powiedział drugi mężczyzna. – Wstała.

Chłopiec zapisał: *Siódma zero cztery, rozsunęły się zasłony w sypialni.*

– Teraz słuchajcie – mruknął pierwszy mężczyzna.

Półtora kilometra od nich włączyła się pompa głębinowa. Najpierw nastąpiło ledwo słyszalne metaliczne kliknięcie, zaraz potem ich uszu doleciało jednostajne basowe buczenie.

– Bierze prysznic – powiedział mężczyzna.

Chłopiec to zapisał. *Siódma zero sześć, obiekt wszedł pod natrysk.*

Mężczyźni zawiesili obserwację. Dopóki będzie pod prysznicem, nic się nie wydarzy. Bo i co miałyby się wydarzyć? Odłożyli teleskopy i zamrugali rażeni świecącym prosto w oczy słońcem. Po sześciu minutach pompa głębinowa

wyłączyła się z kliknięciem. Cisza, jaka zaległa, wydała się głośniejsza niż wcześniejsze, ledwie słyszalne buczenie. Chłopiec zapisał: *siódma dwanaście, obiekt wyszedł spod prysznic.* Mężczyźni znowu sięgnęli po teleskopy.

– Chyba się ubiera – mruknął drugi mężczyzna.

Chłopiec zachichotał.

– Widzisz ją gołą?

Drugi z mężczyzn odpełził sześć metrów na południe. Miał stamtąd lepszy widok na tyły domu, na które wychodziło okno sypialni.

– Wstydziłbyś się – warknął.

Chłopiec zapisał: *Siódma piętnaście, prawdopodobnie się ubiera.* A potem: *Siódma dwadzieścia, prawdopodobnie jest już na dole, prawdopodobnie je śniadanie.*

– Wróci na górę umyć zęby – powiedział.

Mężczyzna po lewej szerzej rozstawił łokcie.

– Jak nic – mruknął. – Czyścioszka.

– Znowu zasuwa zasłony w sypialni – zameldował drugi mężczyzna.

W lecie praktykowało się to powszechnie na zachodzie Teksasu, zwłaszcza jeśli okna sypialni, tak jak to, wychodziły na południe. No, chyba że ktoś życzył sobie spędzić następną noc w pokoju nagrzanym jak piekarnik.

– Chwila przerwy – powiedział mężczyzna. – Dolar do dziesięciu, że wyjdzie zaraz do stajni.

Nikt nie podjął zakładu, bo jak dotąd cztery razy na cztery tak właśnie robiła, a obserwatorom płacono za wyłapywanie tego rodzaju prawidłowości.

– Otwierają się drzwi od kuchni.

Chłopiec zapisał: *siódma dwadzieścia siedem, otwierają się drzwi od kuchni.*

– Wychodzi.

Wyszła w kraciastej, niebieskiej sukience do kolan, która odsłaniała jej ramiona. Włosy miała związane w kok. Były jeszcze wilgotne po prysznicu.

– Jak się nazywają takie sukienki? – spytał chłopiec.

– Na ramięczkach – powiedział mężczyzna z lewej.

*Siódma dwadzieścia osiem, wychodzi, niebieska sukienka na ramiączkach, idzie do stajni, zapisał chłopiec.*

Przeszła przez szerokie na jakieś siedemdziesiąt metrów podwórko, ostrożnie stawiając kroki na nierównym, spieczonym przez słońce gruncie. Otworzyła drzwi stajni i zniknęła w mrocznym wnętrzu.

Chłopiec zapisał: *siódma dwadzieścia dziewięć, obiekt w stajni.*

- Jaka temperatura? – zapytał mężczyzna po lewej.
- Ze trzydzieści stopni – powiedział chłopiec.
- Będzie burza. Przy takim upale to niewyjęte.
- Jest jej transport – zameldował mężczyzna po prawej.

Na szosie, parę kilometrów na południe od nich, pojawił się tuman kurzu. Pojazd sunął wolno na północ.

- Wychodzi – powiedział mężczyzna po prawej.

*Siódma trzydzieści dwie, obiekt wychodzi ze stajni, zapisał chłopiec.*

- Służąca w drzwiach – zameldował mężczyzna.

Obiekt zatrzymał się przy drzwiach od kuchni i wziął od służącej pudełko z lunchem. Było z jasnoniebieskiego plastiku, z postacią z kreskówki na boku. Skórę miała zaróżowioną i wilgotną od upału. Schyliła się, żeby poprawić podkolanówki, potem pobiegła do furtki i wyszła przez nią na pobocze szosy. Szkolny autobus zwolnił, zatrzymał się i poprzez ciche powar kiwanie pracującego na jałowym biegu silnika obserwatorzy usłyszeli wyraźnie, jak z sykiem otwierają się drzwi. Zalśniły w słońcu chromowane poręcze. Chmura spalin z diesla dryfowała ospale w nieruchomym, nagrzanym powietrzu. Obiekt postawił pudełko z lunchem na stopniu, po czym uchwycił się lśniących poręczy i wdrapał za nim do autobusu. Drzwi zamknęły się i obserwatorzy zobaczyli jej jasną główkę przesu wającą się na poziomie dolnych krawędzi okien. Silnik zawar czał głośniejsz, zgrzytnął wrzucany bieg i autobus potoczył się dalej, ciągnąc za sobą pióropusz kurzu.

*Siódma trzydzieści sześć, obiekt odjeżdża autobusem do szkoły, zapisał chłopiec.*

Odpro wadzał wzrokiem autobus oddalającą się szosą bie-

gnącą prosto jak strzelił na północ, dopóki ten na horyzoncie nie rozplynął się w nagrzanym powietrzu w migotliwy żółty miraż. Wtedy zatrzaskał notes i zabezpieczył go gumką recepturką. Służąca weszła do kuchni czerwonego domu i zamknęła za sobą drzwi. Obserwatorzy odłożyli teleskopy i postawili kołnierze, chroniąc karki przed słońcem.

Siódma trzydzieści siedem, piątkowy poranek.

Siódma trzydzieści osiem.

• • •

O siódmej trzydzieści dziewięć, prawie pięćset kilometrów na północny wschód stamtąd, Jack Reacher opuścił przez okno swój pokój motelowy. Minutę wcześniej szcztokował zęby w łazience. A jeszcze minutę wcześniej otworzył drzwi pokoju, żeby sprawdzić na termometrze temperaturę. Zostawił je otwarte. Szafa ścienna w korytarzyku miała lustrzane drzwi, a w łazience było lustro do golenia na regulowanym wysięgniku. I jakiś optyczny traf sprawił, że zobaczył w tym lustrze czterech mężczyzn wysiadających z samochodu i kierujących się do motelowej recepcji. Łut szczęścia, ale ludziom takim jak Jack Reacher szczęście sprzyjało ponadprzeciętnie.

Był to policyjny wóz patrolowy. Miał na drzwiach emblemat, który dzięki słonecznemu porankowi oraz podwójnemu odbiciu można było bez problemu podziwiać. Na górze napisane było *Policja Miejska*, poniżej pysznił się wymyślny medalion, a napis pod spodem informował: *Lubbock, Texas*. Cała wysiadająca z wozu czwórka była w mundurach. Grube pasy mieli obwieszane rewolwerami, krótkofalówkami, pałkami i kajdankami. Trzech po raz pierwszy widział na oczy, czwartego znał. Był to wysoki, zwałisty facet z jasnymi, ostrzyżonymi na zapałkę włosami i nalaną czerwoną gębą. Dzisiaj tę nalaną czerwoną gębę przesłaniały częściowo lśniąca aluminiowe łubki ujmujące strzaskany nos. Złamany palec prawej dłoni facet też miał na aluminiowej szynie i zabandażowany.

Jeszcze wczoraj wieczorem gościu nos miał cały, a palec w najlepszym porządku. Reacherowi do głowy wtedy nie przyszło, że to glina. Siedział w barze i robił wrażenie ostatniego

palanta. Reacher zaszedł tam, bo słyszał, że akurat chałturzy niezły zespół. Zespół był do bani, Jack wycofał się więc do barku, usadowił na stołku i zapatrzył w ekran telewizora z wyłączoną fonią, zawieszono go wysoko na ścianie i nastawiono na kanał sportowy. W lokalu było tłoczno i gwarno, siedział więc wklonowany między jakąś kobietę po prawej i zwałistego faceta ostrzyżonego na zapalkę po lewej. Znudzony transmisją sportową, zaczął się rozglądać po sali. I rozglądając się tak, zahaczył w pewnym momencie wzrokiem o sąsiada.

Gość był w białym podkoszulku bez rękawów i obgryzał kurze skrzydełka. Skrzydełka były tłuste, a gość fleja. Tłuszcz ze skrzydełek ściekał mu po brodzie i palcach, i skapywał na przód podkoszulka. Plama rozrastała się szybko i zaczynała przyciągać oko. Ale barowa etykieta nie pozwala napawać się zbyt długo takimi widokami. Facet przechwycił spojrzenie Reachera.

– Co się gapisz? – zapytał.

Pytanie wywarzone zostało agresywnym tonem, ale Reacher puścił je mimo uszu.

– Co się gapisz? – powtórzył facet.

Reacher wiedział z doświadczenia, że jeśli zadają podobne pytanie raz, to może wszystko rozejdzie się jeszcze po kościach. Ale jeśli pytają po raz drugi, to szykuje się rozróżba. Sęk w tym, że brak odpowiedzi uznają zazwyczaj za dowód, że strach cię obleciał. Że są górą. Inna sprawa, że nie dopuszczają cię do głosu.

– Na mnie się gapisz? – dociekał facet.

– Nie – mruknął Reacher.

– Na mnie nie będziesz się gapił, koleś – warknął facet.

Z tonu, jakim wypowiedział „koleś”, Reacher wywnioskował, że ma zapewne do czynienia z brygadzystą z tartaku, ewentualnie z plantacji bawełny. Czy skąd tam jeszcze, gdzie mogła się utrzymywać z pracy rąk siła robocza z Lubbock i okolic, kultywując jakiś zawód mający tutaj wielopokoleniową tradycję. Słowo „głina” z całą pewnością przez myśl mu nawet nie przeszło. No ale był w Teksasie stosunkowo nowy.

– Nie gap się na mnie – kontynuował facet.



Reacher odwrócił głowę i spojrzał na niego. Nie żeby zaraz gościa prowokować. Żeby go tylko otaksować. Życie jest pełne niespodzianek i miał na uwadze, że pewnego pięknego dnia stanie oko w oko z równym sobie pod względem warunków fizycznych. Z kimś, kogo widok być może go zdeprymuje. Ale spojrzawszy, stwierdził, że ten dzień jeszcze nie nadszedł. Uśmiechnął się więc tylko i odwrócił wzrok.

A wtedy facet dźgnął go paluchem.

– Powiedziałem, żebyś się na mnie nie gapił – powiedział i dźgnął go paluchem po raz drugi w to samo miejsce.

Palec był mięsisty jak parówka, a na dodatek cały w tłuszczu. Zostawił na koszuli Reachera wyraźny ślad.

– Nie rób tego więcej – ostrzegł Reacher.

Facet znowu go dźgnął.

– Bo co? – spytał. – Może chcesz podjąć jakieś kroki?

Reacher spuścił wzrok na przód swojej koszuli. Ślady były już dwa. Facet znowu dźgnął go palcem. Cztery dźgnięcia, trzy ślady. Reacher zacisnął zęby. Cóż w końcu znaczą trzy tłuste plamy na koszuli? Zaczął odliczać powoli do dziesięciu. Zanim doszedł do ośmiu, facet znowu go dźgnął.

– Głuchy jesteś? – wycodził przez zacisnięte zęby Reacher. – Powiedziałem, żebyś tego nie robił.

– Może chcesz podjąć jakieś kroki?

– Nie – odparł Reacher. – Nie chcę. Proszę tylko, żebyś przestał to robić.

Facet uśmiechnął się.

– No toś zasrana kupa gówna.

– Niech ci będzie – mruknął Reacher. – Tym bardziej mnie nie dotykaj.

– Bo co? Co mi zrobisz?

Reacher podjął odliczanie. Osiem, dziewięć...

– Może wyjdziemy? – spytał facet.

Dziesięć.

– Dotknij mnie jeszcze raz, to ci odpowiem – rzekł Reacher. – Ostrzegałem cię już cztery razy.

Facet uspokoił się na sekundę. Potem, a jakże, znów zaczął swoje. Reacher, przechwyciwszy jego palec w locie, uniósł go

i docisnął do grzbietu dłoni, łamiąc przy pierwszym kłykciu jak zapalkę. A ponieważ był już nie na żarty wkurzony, strzelił jeszcze faceta bykiem w tę nalaną facjatę. Cios był błyskawiczny, dobrze wymierzony, ale zadany z umiarkowaną siłą. Nie wypada masakrować człowieka za cztery tłuste plamy na koszuli. Odchylając się, żeby zrobić delikwentowi miejsce na upadek, Reacher potrącił plecami kobietę po swojej prawej.

– Przepraszam panią – powiedział grzecznie.

Kobieta kiwnęła z roztargnieniem głową. Otumaniona gwarem, skoncentrowana na swoim drinku, nie zwracała zupełnie uwagi, co się wokół dzieje. Zwalisty facet zsunął się w milczeniu ze stołka i padł z głuchym łomotem na podłogę. Reacher przekręcił go nogą na bok, po czym wsunął mu czubek buta pod brodę i odchylił nieco w tył głowę, żeby udroźnić drogi oddechowe. Załogi karettek nazywają to pozycją boczną bezpieczną. Chroni nieprzytomnego przed zadławieniem się.

Następnie zapłacił za swoje drinki i wrócił do motelu, nie myśląc już o facecie. Dopiero rano ten sam mu o sobie przypomniał, pojawiając się w łazienkowym lusterku w policyjnym mundurze. Reacher z miejsca wprowadził swój umysł na najwyższe obroty.

Przez pierwszą sekundę obliczał kąty padania i odbicia światła, zadając sobie pytanie: jeśli ja go widzę, to czy on też mnie może zobaczyć? Wyszło mu, że owszem, może. Jeśli tylko spojrzy we właściwą stronę, czego na razie nie zrobił. Następną sekundę strawił, rugając się w duchu. Że też nie zinterpretował jak należy wyraźnych sygnałów. A były takie. No bo kto przy zdrowych zmysłach poszturchiwałby człowieka jego postury, jeśli nie byłby pewny, że chroni go jakiś tam immunitet? Pewny jakiejś tam wymyślonej nietykalności? Że też nie dało mu to do myślenia.

Co robić? Facet jest gliną na swoim terenie. A on, Reacher, łatwo rozpoznawalnym celem. Chociażby po tych czterech tłustych plamach na koszuli i świeżym guzie na czole. Na pewno znaleźliby się jacyś fachowcy od medycyny sądowej, którzy dopasowaliby kształt tego ostatniego do kości w nosie faceta.

Co robić? Rozjuszony, żądny zemsty gliniarz może zależeć

człowiekowi za skórę. I to jak zaleźć. Rojny publiczny areszt, to niewyjęte, może jakaś zabłąkana kulka, na pewno zabawa w czterech na jednego w ustronnej celi gdzieś na tyłach posterunku, gdzie nie można się bronić, bo człowiekowi zaraz postawią dodatkowe zarzuty. Potem cały worek kłopotliwych pytań, tym bardziej kłopotliwych, że Reacher z przyzwyczajenia nie nosił przy sobie żadnego dokumentu tożsamości ani w ogóle niczego poza szczoteczką do zębów i paroma tysiącami dolarów w gotówce w kieszeni spodni. Zostałby jak nic uznany za osobnika podejrzanego. Prawie na pewno oskarżony o czynną napaść na przedstawiciela prawa. Jak spod ziemi zmaterializowałyby się cała rzesza świadków przysięgających na wszystkie świętości, że była to napaść bandycka i niczym niesprowokowana. Mógłby zostać osądzony, skazany i osadzony. Mógłby trafić do celi dwa i pół na trzy metry w jakimś przybytku o zaostrożnym rygorze. A to ze zrozumiałych względów wcale mu się nie uśmiechało.

Najlepiej zatem będzie po angielsku się stąd oddalić. Schował szczoteczkę do zębów do kieszeni, przeszedł przez pokój i otworzył okno. Odpiął siatkowy ekran, wypchnął go i opuścił na ziemię. Przelazł przez parapet, zamknął okno, wcisnął na miejsce ekran i ruszył przez pusty parking ku najbliższej ulicy. Tam skręcił w prawo i szedł, dopóki nie zasłonił go niski budynek. Rozglądał się za autobusem. Żaden nie nadjeżdżał. Rozglądał się za taksówką. Jak wyżej. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wystawić rękę i unieść kciuk. Szacował, że ma dziesięć minut na złapanie okazji, zanim tamci skończą w motelu i zaczną krążyć po ulicach. Dziesięć, góra piętnaście minut.

A stąd wniosek, że nic z tego nie będzie. Nie da rady. Siódma trzydzieści dziewięć rano, a na słupku już trzydzieści stopni. Żaden kierowca nie zatrzyma się w taki upał. Żaden nie uchyli drzwi na tyle, by wpuścić go do środka, nie wspominając już o wcześniejszym opuszczeniu szyby, w celu przekonsultowania zgodności kierunków podróży. Wszystko wskazywało na to, że ewakuacja się nie powiedzie. Wykluczone. Był o tym tak głęboko przekonany, że zaczął planować inne wyjścia z sytuacji.

Ale mylił się. Ten dzień obfitował w niespodzianki.

• • •

Zabójców było troje – dwaj mężczyźni i kobieta. Stanowili jedyny w swoim rodzaju zespół zawodowców z siedzibą w Los Angeles. Skontaktować można się było z nimi poprzez pośrednika mieszkającego w Dallas i drugiego łącznika z Vegas. Działali w branży od dziesięciu lat i byli bardzo dobrzy w swojej robocie, czyli w dyskretnym rozwiązywaniu problemów w dowolnym zakątku południowego zachodu, odbieraniu honorarium i podejmowaniu się podobnych zleceń, ilekroć ktoś ich o to poprosił. Dziesięć lat i najmniejszej wpadki. Zgrana ekipa. Dokładna, z inwencją, perfekcyjna. Najlepsza w swoim hermetycznym małym światku. I idealnie do niego przystosowana. Byli sympatyczni, nijacy, biali, anonimowi. Widziani razem wyglądaliby na pracowników salonu sprzedaży kserokopiarek w drodze do centrali na szkolenie.

Tylko że razem widywały ich jedynie ofiary. Podróżowali osobno. Jedno zawsze samochodem, dwoje pozostałych samolotami, zawsze różnymi trasami. Za kierownicą siadał zawsze jeden z mężczyzn, bo nierzucanie się w oczy było ich zasadą, a kobieta pokonująca długie trasy samochodem nieco łatwiej zapada w pamięć niż mężczyzna. Samochód był zawsze wypożyczony, zawsze w hali przylotów największego w Los Angeles lotniska LAX, bo nie ma na świecie punktów wynajmu samochodów bardziej niż tam obleganych. Zawsze był to zwyczajny rodzinny sedan, bezpłciowy samochód. Prawo jazdy i karta kredytowa wykorzystywane do dokonania transakcji zawsze były prawdziwe, wystawione w jakimś odległym stanie na osobę, która nigdy nie istniała. Kierowca czekał przed terminalem przylotów i ustawiał się w kolejce dopiero wtedy, kiedy do hali bagażowej wylewał się tłum pasażerów z jakiegoś zatłoczonego samolotu. Stawał się wtedy jedną z setek twarzy. Był niski, ciemnowłosy i niepozorny, z zaafierowaną jak wszyscy miną ciągnął za sobą walizkę na kółkach, przez ramię przerzucił podręczny bagaż.

Wypełnił przy stanowisku agencji wynajmu formularz, do-

jechał autobusem na firmowy parking i odnalazł przydzielony mu wóz. Załadował swoje torby do bagażnika, okazał parkingowemu dokumenty i wyjechał w słoneczny blask. Przez czterdzieści minut krążył obwodnicami wokół śródmieścia, upewniając się, czy nie jest śledzony. Potem skręcił w West Hollywood i zatrzymał się przed zamkniętym na kłódkę garażem w zaułku za sklepem z damską bielizną. Zostawił silnik na chodzie, otworzył drzwi garażu, potem bagażnik i wymienił walizkę na kółkach i torbę z podręcznym bagażem na dwie duże walizy z czarnego nylonu. Jedna z nich była bardzo ciężka. Ta ciężka waliza stanowiła powód, dla którego, zamiast korzystać z usług linii lotniczych, jeździł samochodem. Zawierała przedmioty, które lepiej trzymać z dala od lotniskowych skanerów.

Zamknął z powrotem garaż i pojechał Santa Monica Boulevard na wschód, by skręcić z niego na południe w Sto Pierwszą, a potem znowu na wschód w Dziesiątą. Poprawił się w fotelu kierowcy – grunt to wygoda, bo do Teksasu dwa dni jazdy. Nie był palaczem, ale co jakiś czas zapalał papierosa i trzymając go między palcami, strzepywał popiół gdzie popadnie – na dywaniki, na deskę rozdzielczą, na kierownicę. Niedopałki gasił w popielniczce. Zmusi to agencję wynajmu do bardzo dokładnego odkurzenia zwróconego wozu, spryskania wnętrza odświeżaczem powietrza i przetarcia winylu płynem czyszczącym. W ten sposób usunięte zostaną wszelkie jego ślady, z odciskami palców włącznie.

Drugi z mężczyzn również już ruszył w drogę. Był od pierwszego wyższy, potężniej zbudowany i miał jaśniejsze włosy, ale niczym szczególnym się nie wyróżniał. Zjawił się na LAX w porze wieczornego szczytu i wykupił bilet do Atlanty. Wyładowawszy tam, zamienił portfel z dokumentami na jeden z pięciu, które woził ze sobą w bagażu podręcznym, i już jako zupełnie inny człowiek wykupił kolejny bilet do Dallas-Fort Worth.

Kobieta wyruszyła w podróż dzień później. Przysługiwał jej ten przywilej, bo przewodziła zespołowi. Była ciemną blondynką w średnim wieku, średniego wzrostu i tuszy. Wyróżniało

ją jedynie to, że zarabiała na życie zabijaniem ludzi. Samochód zostawiła na długoterminowym parkingu pod LAX, co nie stwarzało żadnego zagrożenia, bo wóz zarejestrowany był na noworodka z Pasadeny, który przed trzydziestu laty zmarł na odrę. Dojechała lotniskowym autobusem do terminalu, wykupiła bilet, płacąc sfałszowaną kartą MasterCard, i przeszła przez bramkę, okazując autentyczne nowojorskie prawo jazdy ze zdjęciem. Na pokład samolotu wkraczała mniej więcej w tym samym czasie, kiedy kierowca rozpoczynał swój drugi dzień jazdy.

Pierwszego dnia, po drugim tankowaniu, zjechał z autostrady między wzgórz Nowego Meksyku, zatrzymał się na odludnej gruntowej drodze, przykucnął w chłodnym, rozrzedzonym powietrzu i zmienił tablice rejestracyjne samochodu z kalifornijskich na arizońskie, które wyjął z cięższej walizy. Potem wrócił na autostradę, przejechał nią jeszcze godzinę, by następnie skręcić w boczną szosę, przy której znalazł motel. Zapłacił gotówką, podał adres w Tucson i pozwolił recepcjonistce przepisać do karty meldunkowej numer z arizońskiej tablicy rejestracyjnej.

Przespał sześć godzin w klimatyzowanym pokoju i z samego rana był już znowu w trasie. Do Dallas-Fort Worth dotarł pod wieczór drugiego dnia i zostawił wóz na długoterminowym parkingu lotniska. Zabrał z bagażnika walizy i lotniskowym autobusem dojechał do hali odlotów. Stamtąd schodami ruchomymi zjechał od razu do hali przylotów i ustawił się w kolejce do stanowiska Hertza. Do Hertza, bo ta agencja wynajmu samochodów miała w ofercie fordę, a jemu potrzeby był crown victoria.

Wylegitymował się prawem jazdy z Illinois i wypełnił formularz. Potem pojechał autobusem na parking Hertza i odnalazł swój wóz. Był to typowy crown vic w kolorze szary metalik, ani ciemny, ani jasny. O taki mu właśnie chodziło. Załadował walizy do bagażnika i podjechał pod motel sąsiadujący z nowym stadionem baseballowym przy szosie z Fort Worth do Dallas. Zameldował się, okazując to samo prawo jazdy z Dallas, zjadł i przespał się kilka godzin. Obudził się wcześniej

i spotkał ze swoimi partnerami w upalny poranek przed motelem dokładnie w tym samym momencie, kiedy ponad sześćset kilometrów stamtąd, w Lubbock, Jack Reacher po raz pierwszy wystawiał kciuk.

• • •

Drugą niespodzianką, po tej z pojawieniem się gliniarza, było to, że złapał okazję w niespełna trzy minuty. Nie zdążył się nawet spocić. Koszulę miał wciąż suchą. Trzecią niespodzianką był fakt, że kierowcą, który się przy nim zatrzymał, okazała się kobieta. Czwartą i największą ze wszystkich niespodzianką był temat, na jaki zesła konwersacja, którą siłą rzeczy nawiązali.

Od dobrych dwudziestu pięciu lat podróżował stopem po tyłu krajach, że nie tak łatwo byłoby mu je wszystkie wymienić z pamięci, i nie zdarzyło mu się jeszcze, żeby trzy minuty po wystawieniu kciuka sadowić się już w samochodzie. Jako sposób na przemieszczanie się autostop zdychał. Reacher doszedł do tego wniosku na podstawie własnego doświadczenia. Kierowcom zawodowym zabierania łebków zabraniały warunki ubezpieczenia, a prywatni coraz bardziej się bali. Bo licho cię tam wie, czyś aby nie jakiś psychol. A już Reacher miał pod tym względem problemy ponadprzeciętne, zwłaszcza teraz. Daleko mu było do eleganckiego, zadbanego, ugrzecznionego facecika. Posturę miał olbrzyma – sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, atletyczna sylwetka, sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi. Ludzie się go bali. Trzymali od niego z dala. A teraz na dokładkę czoło zdobił mu świeży guz. I dlatego tak go zaskoczyły te trzy minuty.

I ta kobieta za kierownicą. Istnieje niepisany ranking szans na złapanie okazji, oparty na czymś w rodzaju podświadomej oceny ryzyka. Otwiera ten ranking młoda dziewczyna, którą w zasadzie zabierze każdy, nawet podszyty tchórzem, podtasiały mężczyzna, bo gdzie tu niebezpieczeństwo? Chociaż ostatnio, od kiedy niektóre siuśmajtki wycwaniły się w sztuce naciągania i żądają setek dolarów za odstąpienie od oskarżenia o molestowanie, nawet w tej kategorii zrobiło się trudniej. Tak

czy owak ranking zamykał niezbyt zadbany chłop na schwał, a już nie do pomyślenia było, żeby zatrzymała się przed takim elegancką, atrakcyjną kobietą w drogim coupé. A jednak zatrzymała się. Po trzech minutach.

Z wystawioną w bok ręką, unosząc wymownie kciuk, odalał się długimi krokami na południowy zachód, byle dalej od motelu. Słońce prażyło go w plecy, mało co widział w galimatiasie postrzępionych porannych cieni, aż tu nagle, z lepkiem kląskaniem szerokich opon na rozgrzanym asfalcie coś się obok niego zatrzymało. Samochód był duży, biały, poraziło go słońce odbijające się od maski. Zatrzymał się oślepiony i usłyszał cichy szum opuszczanej elektrycznie szyby. Siódma czterdzieści dwie. Piątkowy poranek.

– Dokąd? – zawołał kobiecy głos tonem pasującym bardziej do taksówkarza niż osoby prywatnej.

– Gdzie oczy poniosą – odburknął.

I od razu tego pożałował. Palnął głupstwo, bo niepodanie konkretnego celu podróży pogarsza jeszcze sprawę. Ludzie uznają takiego osobnika za łązęgę, stają się podejrzliwi i zaczynają się zastanawiać, czy uda im się go pozbyć. Że przycepi się taki jak rzep i będzie chciał z nimi jechać do domu. Ale ta kobieta kiwnęła tylko głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Jadę na Pecos.

Zawahał się zaskoczony. Kobieta, wychylając się zza kierownicy, patrzyła na niego przez szybę wyczekująco.

– Pasuje – zdecydował.

Zszedł z krawężnika, otworzył drzwi i wsunął się na obity skórą fotel. W środku było jak w zamrażarce. Klimatyzacja pracowała na maksa i odniósł wrażenie, że siada na bryle lodu. Zatrzasnął za sobą drzwi, a ona zasunęła przyciskiem szybę.

– Dzięki – mruknął. – Nawet pani nie wie, jak jestem wdzięczny.

Nic nie powiedziała. Machnęła tylko ręką i obejrzała się przez ramię, przygotowując do włączenia do ruchu. Ludzie mają swoje powody, by zabierać autostopowiczów, i to najrozmaitsze. Jedni sami w młodości tak podróżowali, a po ustatkowaniu się chcą zobaczyć, jak to wygląda od drugiej strony. Inni



z natury są życzliwi. Jeszcze innym doskwiera samotność i po prostu chcą pogadać.

Jeśli jednak tej kobiecie chodziło nawet o to ostatnie, to nie śpieszyła się z zagajeniem rozmowy. Przepuściła kilka ciężarówek i ruszyła za nimi bez słowa. Reacher rozejrzył się po samochodzie. Był to cadillac – dwudrzwiowy, ale długi jak żaglówka i bardzo bajerancki. Mniej więcej dwulatek, ale wychuchany. Skóra koloru starych kości, przyciemniane szyby koloru butelek po francuskim winie. Na tylnym siedzeniu leżał czarny notes, chyba z plastikową okładką, a obok mała aktówka z cielecej skóry zasuwana na zamek błyskawiczny. Notes nie miał napisów, aktówka była z tych, które już w chwili zakupu wyglądają na używane. Była otwarta i wypchana plikiem papierów, podobne widuje się w kancelariach prawniczych.

– Niech pan sobie cofnie fotel – odezwała się kobieta. – Będzie miał pan więcej miejsca na nogi.

– Dzięki – mruknął znowu.

Wypatrzył na drzwiach przyciski w kształcie poduszek. Pomanipulował nimi i silniczki mechanizmu z cichym buczeniem odsunęły w tył fotel i odchyliły oparcie. Potem opuścił jeszcze siedzisko, żeby jak najmniej było go widać z zewnątrz. Poczul się przez chwilę jak na fotelu u dentysty.

– No, już lepiej – orzekła kobieta. – I wygodniej.

Sama była niska, więc fotel miała przysunięty do kierownicy i uniesiony. Zmienił pozycję tak, żeby mieć ją w polu widzenia, ale nie patrzeć na nią bezpośrednio. Była niska, szczupła, śniada, drobnej kości. Słowem, chucherko. Góra pięćdziesiąt kilogramów, jakieś trzydzieści lat. Długie, falujące, czarne włosy, czarne oczy, małe, białe ząbki pojawiające się, kiedy rozciągała wargi w półuśmiechu. Chyba Meksykanka, ale nie z tych, co przepływają przez Rio Grande w poszukiwaniu lepszego życia. Przodkowie tej kobiety żyli sobie lepiej od setek lat. To było widać. Miała to w genach. Coś z azteckiej księżniczki. Prosta bawełniana sukienka w pastelowy deseń. Nic specjalnego, ale chyba swoje kosztowała. Bez rękawów i kończąca się powyżej kolan. Ramiona i nogi smagłe i gładkie, jak wypolerowane.

– To gdzie pana wysadzić? – spytała.

Urwała i uśmiechnęła się szerzej.

– Nie, już o to pytałam. A pan sam nie wiedział.

Miała akcent rodowitej Amerykanki, może tylko bardziej zachodni niż południowy. Trzymała kierownicę oburącz i Reacher widział pierścionki na palcach. Prosta obrączka ślubna i coś platynowego z dużym diamentem.

– Wszystko mi jedno – mruknął. – Gdzie pani wygodniej.

Uśmiechnęła się znowu.

– Ucieka pan przed czymś? Czyżbym zabrała niebezpiecznego zbiega?

Ten uśmiech świadczył, że pytanie nie zostało zadane poważnie i Reachera zastanowiła jej niefrasobliwość. Biorąc pod uwagę okoliczności, niewiele się pomyliła. Rzykowała. Właśnie tego rodzaju ryzyko zabijało sztukę podróżowania autostopem.

– Eksploruję – mruknął.

– Teksas? Teksas już dawno odkryty.

– W sensie turystycznym – sprecyzował.

– Nie wygląda pan na turystę. Turyści noszą poliestrowe sportowe garnitury i przyjeżdżają do nas autokarami.

Uśmiechnęła się znowu. Miała ładny uśmiech. Wyglądała na pewną siebie, opanowaną i subtelną do granic elegancji. Elegancka Meksykanka w drogiej kiece, najwyraźniej elokwentna. Jeżdżąca cadillakiem. Powstydził się nagle swoich zdawkowych odpowiedzi, potarganych włosów, zarostu, poplamionej koszuli i wygniecionych spodni khaki. I sporego guza na czole.

– Pani gdzieś tu mieszka? – zapytał, bo powiedziała: „turyści przyjeżdżają do nas autokarami”, a czuł, że wypada podtrzymać rozmowę.

– Na południe od Pecos – odparła. – Prawie pięćset kilogramów stąd. Mówiłam, że tam jadę.

– Nigdy tam nie byłem – mruknął.

Zatrzymała się na światłach. Kiedy się zmieniły, przecięła wielkie skrzyżowanie, trzymając się prawego pasa ruchu. Obserwował jej udo, kiedy naciskała pedał gazu. Przygryzała dol-

ną wargę. Mrużyła oczy. Była czymś wyraźnie zdenerwowana, ale się kontrolowała.

– I zeksplorował pan Lubbock? – spytała.

– Widziałem pomnik Buddy Holly’ego.

Zerknęła na radio, tak jakby pomyślała: facet lubi muzykę, może mu coś puścić.

– Lubi pan Buddy Holly’ego? – spytała.

– Niespecjalnie – odparł Reacher. – Za mdły, jak na mój gust.

Kiwnęła głową.

– Też tak myślę. Ritchie Valens był lepszy. On też pochodził z Lubbock.

Teraz głową kiwnął Reacher.

– Widziałem go w Alei Sławy.

– Długo bawił pan w Lubbock?

– Jeden dzień.

– I teraz rusza pan dalej.

– Zgodnie z planem.

– Gdzie oczy poniosą – zażartowała.

– Zgodnie z planem – powtórzył.

Minęli słupek z małą blaszaną tablicą wytyczającą granicę miasta. Reacher uśmiechnął się pod nosem. Na emblemaście zdobiącym drzwi wozu patrolowego napisane było *Policja Miejska*. Odwrócił głowę i obserwował przez chwilę pozostające w tyle niebezpieczeństwo.

• • •

Trójka zabójców zajęła miejsca w crown victorii. Wysoki, jasnowłosy mężczyzna usiadł za kierownicą, niski, ciemnowłosy, zmęczony dwudniową podróżą, w fotelu pasażera. Kobieta usadowiła się z tyłu. Wyjechali z motelowego parkingu, na międzystanowej I-20 przyśpieszyli. Zostawiali za sobą Dallas, zdążając na zachód, w kierunku Fort Worth. Żadne się nie odzywało. Przytłaczał ich ogrom Teksasu. Kobieta, przygotowując się do akcji, czytała przewodnik i dowiedziała się z niego, że stan ten zajmuje siedem procent powierzchni Ameryki i jest większy od większości krajów europejskich. To nie zrobiło

na niej specjalnego wrażenia. Każdy wiedział, że Teksas jest bardzo duży. Ale przewodnik podawał również, że od granicy Teksas jest szerszy, niż wynosi odległość z Nowego Jorku do Chicago. Ta informacja wrażenie już zrobiła. I tłumaczyła, dlaczego muszą przejechać taki szmat drogi, żeby dostać się z jednego położonego na jego terytorium miejsca w inne.

Na szczęście samochód był cichy, klimatyzowany i wygodny, stwarzał warunki do wypoczynku lepsze niż niejeden pokój motelowy. A czasu do zabójstwa pozostało niewiele.

• • •

Kobieta skręciła w prawo, w kierunku Nowego Meksyku, a półtora kilometra dalej w lewo, na południe, w kierunku starego Meksyku. Sukienkę na przodzie miała wygniecioną, tak jakby nosiła ją już drugi dzień. Subtelny zapach perfum mieszał się z mroźnym powietrzem dmuchającym z nawiewników w desce rozdzielczej.

– To Pecos warte jest obejrzenia? – spytał Reacher.

– Pecos – skorygowała.

– No tak, Pecos.

Wzruszyła ramionami.

– Mnie się podoba – powiedziała. – Większość mieszkańców to Meksykanie, a więc dobrze się tam czuję.

Jej prawa dłoń mocniej zacisnęła się na kierownicy. Zobaczył ściętna napinające się pod skórą przedramienia.

– Lubi pan Meksykanów? – spytała.

Teraz on wzruszył ramionami.

– Tacy sami ludzie jak inni.

– Nie lubi pan ludzi?

– To zależy.

– A lubi pan kantalupy?

– Taki sam owoc jak inne.

– W Pecos rosną najśodsze w całym Teksasie – wyjaśniła.

– A tym samym, w opinii mieszkańców, najśodsze na całym świecie. W lipcu organizowane jest tam rodeo, czyli w tym roku już go pan nie obejrzy. A na północ od Pecos leży okręg Loving. Słyszał pan o okręgu Loving.

Pokręcił głową.

– Nigdy tam nie byłem.

– To najślabiej zaludniony okręg w całych Stanach Zjednoczonych. To znaczy nie biorąc pod uwagę niektórych rejonów Alaski. Ale przy tym najbogatszy, jeśli chodzi o dochód na głowę mieszkańca. Populacja wynosi sto dziesięć osób, ale działa tam czterysta dwadzieścia szybów naftowych.

– No to jadę z panią do Pecos. Ciekawe miejsce, z tego co słyszę.

– To był prawdziwy Dziki Zachód – dodała. – Naturalnie, dawno temu. Kompania Texas and Pacific Railroad zbudowała tam stację kolejową, która szybko obrosła saloonami i w ogóle. Było to zakazane miejsce. Z nazwy miasta ukuto nawet czasownik. Zapecosować kogoś znaczyło zastrzelić go, a trupa wrzucić do rzeki Pecos.

– I nadal się to praktykuje?

Znowu się uśmiechnęła. Ale był to już inny uśmiech. Mniej elegancki, nieco wymuszony i bardziej przekorny. Dodawał jej uroku.

– Owszem, ale już nie tak często – zażartowała.

– Pochodzi pani z Pecos?

– Nie, z Kalifornii – odparła. – Do Teksasu przenieśliśmy się po ślubie.

Podtrzymuj rozmowę, pomyślał Reacher. Bądź co bądź uradowała ci tyłek.

– Od dawna jest pani mężatką? – spytał.

– Niecałe siedem lat.

– Pani rodzina długo mieszka w Kalifornii?

Uśmiechnęła się znowu.

– Dłużej niż jakikolwiek Kalifornijczyk, to na pewno – powiedziała.

Jechali teraz prostą jak strzelił szosą przez płaskie pustkowie, dodała więc gazu. Niebo oglądane przez przednią szybę było butelkowo zielone. Wyświetlacze na desce rozdzielczej informowały, że na zewnątrz jest czterdzieści pięć stopni, a w środku piętnaście.

– Jest pani prawnikiem? – spytał.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale szybko skojarzyła, skąd to przypuszczenie i wyciągając szyję, zerknęła w lusterko wsteczne na odbicie leżącej na tylnym siedzeniu aktówki.

– Nie – odparła. – Klientką prawnika.

Konwersacja znowu zamarła. Przez chwilę trwało niezręczne milczenie.

– I kim jeszcze pani jest? – spytał Reacher.

Zwlekała kilka sekund z odpowiedzią.

– Żoną i matką – zaczęła w końcu. – Do tego córką i siostrą. Trzymam też kilka koni. To wszystko. A pan kim jest?

– Nikim specjalnym – mruknął Reacher.

– Kimś musi pan być – nie ustępowała.

– Kiedyś byłem – przyznał. – Byłem synem, bratem i miałem dziewczynę.

– Byłem?

– Rodzice umarli, brat zmarł, dziewczyna odeszła.

Niezbyt to budujące, pomyślał. Kobieta milczała.

– I nie mam ani jednego konia – dorzucił.

– Bardzo przykre – powiedziała.

– Że nie mam konia?

– Nie, że jest pan zupełnie sam na świecie.

– Bez przesady – mruknął. – Aż tak źle to nie jest.

– Nie czuje się pan samotny?

Wzruszył ramionami.

– Lubię samotność.

– Dlaczego dziewczyna od pana odeszła? – podjęła po chwili milczenia.

– Wyjechała do pracy do Europy.

– Nie mógł pan jechać z nią?

– Nie zauważyłem, żeby jej na tym zależało.

– Rozumiem – powiedziała. – A chciał pan z nią jechać?

Zastanowił się.

– Niespecjalnie – odparł. – To by za bardzo pachniało stabilizacją.

– A pan nie chce się ustabilizować?

Pokręcił głową.

– Dwie noce w jednym miejscu i już mnie nosi.

– Stąd ten jeden dzień w Lubbock – zauważyła.

– I następny w Pecos – dodał.

– A co potem?

Uśmiechnął się.

– Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem – odparł. – I tak to ze mną już jest.

Zamilkła, skupiając się na prowadzeniu.

– Czyli jednak ucieka pan przed czymś – odezwała się po jakimś czasie. – Może miał pan kiedyś bardzo ustabilizowane życie i ucieka pan od wszystkiego, co by panu o nim przypominało.

Ponownie pokręcił głową.

– Nie, wprost przeciwnie. Od urodzenia byłem przy wojsku, a tam o żadnej stabilizacji nie ma mowy. Weszło mi to w krew.

– Rozumiem – mruknęła. – Przywykł pan do życia na walizkach.

– Coś w tym rodzaju.

– Jak to możliwe, żeby od urodzenia być w wojsku?

– A możliwe. Ojciec był żołnierzem. Dzieciństwo upłynęło mi w bazach wojskowych rozrzuconych po całym świecie, a potem sam się zaciągnąłem i tak to szło.

– Ale teraz już pan nie jest w wojsku?

Kiwnął głową.

– Wyszkolony i bez przydziału.

Zauważył, że jego odpowiedź dała jej do myślenia. Powróciło napięcie. Chyba nie zdając sobie z tego sprawy, jakby mimowolnie, mocniej nacisnęła pedał gazu. Odniosł wrażenie, że tak jak szybkość, z którą jechali, wzrosło jej zainteresowanie jego osobą.

• • •

Ford Motor Company montuje crown victorie w swoich zakładach w St Thomas w Kanadzie. Z taśmy produkcyjnej zjeżdża ich tam dziesiątki tysięcy rocznie i niemal wszystkie bez wyjątku sprzedawane są departamentom policji, firmom taksówkowym albo trafiają do flot agencji wynajmu. Popyt na

nie ze strony osób prywatnych jest śladowy. Udział wielkich krążowników szos w rynku nie jest już taki jak dawniej, a zawardziali konserwatyści, którzy nadal je preferują, wybierają raczej forda mercury'ego grand marquis, model w zasadzie ten sam, ale lepiej wyposażony i niewiele droższy. W związku z powyższym prywatne crown vice spotyka się na drogach jeszcze rzadziej niż prywatne czerwone rolls-royce'y, i widząc takiego w kolorze innym niż taksówkowy żółty albo czarno-biały z napisami *Policja* na drzwiach, człowiek myśli od razu, że to nieoznakowany wóz policyjny. Ewentualnie jakiegoś rodzaju służbowy pojazd użytkowany przez szeryfa, FBI, Secret Service albo udostępniony koronerowi bądź komendantowi straży pożarnej dużego miasta.

To podświadome skojarzenie, i istnieją sposoby, żeby je podsycić.

Na pustkowiu, w połowie drogi do Abilene, jasnowłosy mężczyzna zjechał z autostrady i poprowadził wóz przez rozległe pola, a potem gęste lasy, by zatrzymać się w końcu na zapomnianej pętli autobusowej oddalonej o co najmniej piętnaście kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby. Zgasił silnik i otworzył bagażnik. Niski ciemnowłosy mężczyzna wyciągnął z niego ciężką walizę i położył ją na ziemi. Kobieta odsunęła zamek błyskawiczny i podała wysokiemu jasnowłosemu mężczyźnie parę tablic rejestracyjnych stanu Wirginia. Mężczyzna wyjął z walizy śrubokręt, odkręcił tablice teksaskie, przednią i tylną, i przykręcił na ich miejsce tablice wirginijskie. Niski ciemnowłosy mężczyzna ściągnął tymczasem ozdobne plastikowe dekle ze wszystkich czterech kół, złożył je i razem z tablicami rejestracyjnymi wrzucił do bagażnika. Kobieta wyjęła z walizy cztery anteny – długie, giętkie wąsy stosowane w łączności CB i telefonii komórkowej – nabyte w sklepie sieci Radio Shack w Los Angeles. Anteny komórkowe przykleiła taśmą samoprzylepną do tylnej szyby. A po zatrzaśnięciu bagażnika – anteny CB do jego kłapy. Nie były do niczego podłączone. Były tylko na pokaz, ale robiły wrażenie.

Następnie niski ciemnowłosy mężczyzna zajął miejsce za kierownicą, zawrócił i wzbijając tumany kurzu, ruszył w stro-



nę autostrady. Crown vic z gołymi stalowymi felgami, lasem anten i tablicami rejestracyjnymi stanu Wirginia. Wypisz wymaluj wóz FBI z trzema agentami w środku, wypełniającymi jakąś ważną misję.

• • •

– Czy mój samochód był w wojsku? – spytała niby to od niechcienia kobieta.

– Byłem gliniarzem – odparł Reacher.

– To w wojsku też są gliniarze?

– A są – powiedział. – Żandarmeria. Rodzaj gliniarzy. Służba wewnętrzna.

– Nie wiedziałam – przyznała.

Znowu zamilkła. Myślała intensywnie. Wyglądała na podnieconą.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli zadam kilka pytań? – spytała po chwili.

Wzruszył ramionami.

– Jestem na pani łasce i niełasce.

Kiwnęła głową.

– Nie chciałabym pana urazić.

– Z tym nie byłoby tak łatwo, zważywszy na okoliczności. Na zewnątrz czterdzieści pięć stopni, tutaj piętnaście.

– Zbiera się na burzę. Przy takiej temperaturze będziemy ją mieli jak w banku.

Reacher spojrział na niebo. Oglądane przez przyciemnianą przednią szybę było butelkowo zielone i oślepiająco czyste.

– Nie widzę niczego, co by ją zapowiadało – stwierdził.

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Mogę wiedzieć, gdzie pan mieszka?

– Nigdzie nie mieszkam – mruknął. – Jestem w ciągłym ruchu.

– Nie ma pan gdzieś domu?

Pokręcił głową.

– Wszystko, co mam, mam przy sobie.

– To niewiele pan ma – zauważyła.

– I więcej mi nie trzeba.

Skwitowała to przelotnym uśmiechkiem.

– Jest pan bez pracy? – spytała.

Kiwnął głową.

– Przeważnie.

– Dobrym był pan gliną? W tym wojsku?

– Chyba niezłym. Awansowali mnie na majora, dali parę medali.

– To dlaczego pan odszedł?

Zaczynało to wyglądać na wywiad. Przed przyznaniem kredytu albo przyjęciem do pracy.

– Zredukowali mnie – odparł. – Skończyła się zimna wojna, zaczęli odchudzać armię, a im mniej żołnierzy, tym mniej potrzeba żandarmów do ich pilnowania.

Kiwnęła głową.

– Tak jak w mieście. Im mniej mieszkańców, tym mniej policji. Cięcie kosztów. Podatki i tak dalej.

Milczał.

– Mieszkam w bardzo małym miasteczku – podjęła. – Echo, na południe od Pecos, jak już mówiłam. Głucha prowincja. Dlatego nazwali je Echo. Nie chodzi tu o echo, które rozlega się w pustym pomieszczeniu. To nawiązanie do mitologii starożytnych Greków. Echo była młodą dziewczyną zakochaną w Narcyzie. Ale on kochał tylko siebie i ona marniała z nieodwzajemnionej miłości, aż został z niej tylko głos. I dlatego nazwano to miasteczko jej imieniem – Echo. Mieszkańców tam niewielu, chociaż to stolica okręgu. Liczniejszego niż okręg Loving, ale nie ma tam posterunku policji. Porządku pilnuje tylko jeden szeryf okręgowy.

Coś w jej głosie...

– I jest z tym jakiś problem? – spytał.

– To bardzo biały okręg – powiedziała. – Nie to co Pecos.

– I co z tego?

– To, że mogą być problemy, jeśli dojdzie co do czego.

– A doszło co do czego?

Uśmiechnęła się nieszczerze.

– Od razu widać, że był pan gliną – powiedziała. – Taki pan dociekliwy. A to ja mam do pana tyle pytań.

Korzystając z tego, że zamilkła, przyciskami w kształcie poduszek odchylił jeszcze trochę oparcie fotela. Obserwował ją spod oka. Była ładna, ale zdenerwowana. Jeszcze dziesięć lat, a z tych nerwów porobią się jej zmarszczki.

- Jak wyglądało życie w wojsku? – spytała.
- Inaczej – mruknął. – Inaczej niż poza nim.
- W jakim sensie inaczej?
- Inne zasady, inne sytuacje. To był świat sam w sobie. Z jednej strony żelazna dyscyplina, z drugiej bezprawie.
- Dziki Zachód – skomentowała.
- Chyba tak – przyznał. – Milion ludzi szkolonych przede wszystkim w wiadomym celu. Zasady to rzecz drugorzędna.
- Dziki Zachód – powtórzyła. – I panu to chyba odpowiadało?

Kiwnął głową.

- Nie zaprzeczę.
- Mogę zadać osobiste pytanie?
- Słucham.
- Jak się pan nazywa?
- Reacher.
- To imię czy nazwisko?
- Wszyscy mówią mi Reacher.
- Mogę spytać o coś jeszcze?

Kiwnął głową.

- Zabijałeś ludzi, Reacher? W wojsku?

Znowu kiwnął głową.

- Zdarzało się.
- W końcu po to się idzie do wojska, prawda? – zauważyła.
- Właśnie – mruknął. – Po to.

Znowu zamilkła. Odniósł wrażenie, że intensywnie coś w myślach rozważa.

– W Pecos jest takie muzeum – podjęła po chwili. – Muzeum prawdziwego Dzikiego Zachodu. Mieści się częściowo w dawnym salonie, częściowo w hoteliku z epoki, który z nim sąsiaduje. Na tyłach znajduje się grób Claya Allisona. Słyszał pan o Clayu Allisonie?

Reacher pokręcił głową.

– Nazywano go Rewolwerowcem Dzentelmenem – wyjaśniła. – Później się wycofał i zmarł dopiero wskutek obrażeń, jakie odniósł, wpadając pod koła wozu z ziarnem. Pochowano go tam. Widziałam tę mogiłę. Na nagrobku jest napis: *Robert Clay Allison 1840–1887*. A inskrypcja pod spodem głosi: *Nigdy nie zabił człowieka, który nie zasługiwał na śmierć*. Co pan o tym myśli?

– Myślę, że to bardzo ładna inskrypcja – odparł Reacher.

– Jest też tam stara gazeta – ciągnęła. – Przechowywana w oszklonej gablocie. Chyba wydawana w Kansas City. Z jego nekrologiem. Można w nim przeczytać: *Pewne jest, że wiele swoich uczynków popełnił w imię prawa, tak jak on je pojmował*.

Cadillac pędził na południe.

– Ładny nekrolog – mruknął Reacher.

– Tak pan uważa?

Kiwnął głową.

– Lepszego nie można sobie chyba wymarzyć.

– Chciałby pan, żeby i o panu tak napisano w nekrologu?

– Owszem, ale jeszcze nie teraz – odparł Reacher.

Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Jasne, nie życzę tego panu – powiedziała. – Ale uważa pan, że zasługiwałby na taki nekrolog? Znaczący, na koniec?

– Czytałem gorsze – powiedział.

Milczała.

– Może mi pani powiedzieć, dokąd to prowadzi?

– Ta droga? – spytała z roztargnieniem.

– Nie, nasza rozmowa.

Zdjęła nogę z pedału gazu. Samochód zwolnił i zjechał na piaszczyste pobocze. Pobocze osypało się pod kołami w suchy rów irygacyjny i wóz przechylił się na bok. Nie gasząc silnika ani nie wyłączając klimatyzacji, ledwie zauważalnym ruchem nadgarstka przesunęła dźwignię automatycznej skrzyni biegów w położenie parkowania.

– Nazywam się Carmen Greer – powiedziała. – I potrzebuję pańskiej pomocy.